

Schodził po stopniach z surowego drewna. Schylił się, zapalił zapalniczkę i przesunął ręką, rozjaśniając mrok płomykiem niby w geście ofiarnym. Zimno i wilgoć. Nieludzki smród. Chłopiec uczepiony jego kurtki. Dostrzegł fragment muru. Klepisko z gliny. Stary materac z ciemnymi plamami. Przykucnął, zszedł niżej i wyciągnął dłoń z zapalniczką. Pod przeciwległą ścianą tłoczyli się nadzy ludzie, kobiety i mężczyźni, próbując się ukryć, zasłaniając twarze rękami. Na materacu leżał mężczyzna bez nóg, z poczerniałymi, nadpalonymi kikutami sterczącymi z pachwin. Odór był odrażający.

Jezusie, wyszeptał.

Zaczęli się odwracać po kolei, mrugając oczami w nędznym świetle.

Pomóż nam, szeptali. Błagamy, pomóż nam.

Chryste, powiedział. O Chryste.

Odwrócił się i chwycił chłopca. Szybko, rzekł. Szybko. Upuścił zapalniczkę. Nie było czasu, żeby jej szukać. Pchnął chłopca na schodki. Pomóż nam, wołali.

Szybko.

U stóp schodów pojawiła się mrugająca oczami brodata twarz. Pomóż nam, zawołał. Błagam.

Szybko. Szybko, na miłość boską.

Wyrzucił chłopca przez otwór w podłodze, aż ten upadł bezwładnie. Wyskoczył, złapał za klapę, dźwignął ją, zatrzasnął i odwrócił się, żeby dopaść chłopca, ale on już się podniósł i miotał w tańcu przerażenia. Chodź tu, na miłość boską, syknął. Chłopiec wskazywał ręką okno, więc spojrział tam i zmartwiał. Polem zbliżało się do domu czterech brodatych mężczyzn i dwie kobiety. Chwycił chłopca za rękę. O Chryste, powiedział. Biegnij, biegnij.